



ZBIGNIEW JUJKA

Urodzony w roku 1935 w Starym Targu na Powiślu, w obecnym województwie pomorskim.

Jako karykaturzysta zadebiutował w roku 1953 na łamach „Gazety Zielonogórskiej”, jeszcze przed studiami na Wydziale Architektury Wnętrz PWSP w Gdańsku. Od tego czasu stworzył kilkadziesiąt tysięcy rysunków satyrycznych. Znany z publikacji w wielu czasopismach, również zagranicznych. Najtrwalej swoją obecność zaznaczył na łamach „Dziennika Bałtyckiego”, gdzie już od roku 1963 publikuje cotygodniowy „Dzienniczek” – serwis aktualności satyrycznych. Od ponad 46 lat prowadzi też najstarszą w prasie polskiej rubrykę zatytułowaną „Kroniczka Aktualności”, początkowo na łamach kieleckiego „Słowa Ludu”, a po jego likwidacji w „Echu Dnia”.

Zbigniew Jujka wydał ponad pięćdziesiąt albumów autorskich. Zilustrował kilkadziesiąt książek. Uczestniczył w wielu krajowych i zagranicznych

wystawach satyry polskiej. Jest zdobywcą kilkudziesięciu nagród, w tym na międzynarodowych konkursach, między innymi w Montrealu, Berlinie, Ankonie, Bordigherze, Knokke-Heist, Skopje i Tokio. Wielokrotny laureat Złotej Szpilki. W latach 1989-1996 prezes Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury. W roku 1998 odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. W roku 2000 otrzymał nagrodę Eryka, a w 2003 i 2004 - Błękitnego Melonika Charliego. Wyróżniony Nagrodą Pomorską, odznaką Pro Ecclesia et Populo oraz medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. W roku 2009 otrzymał Nagrodę Kulturalną Zielonej Góry oraz przyznany przez Radę Miasta Gdańska Medal św. Wojciecha.



Tu się zaczęło moje malowanie.

Opuszczone gospodarstwo przy drodze z Kramska do stacji kolejowej w Kolesinie – rok 1952.

Zbigniew Jujka

KRAMSKIE POWROTY

Muszę zacząć te wspominki od retrospekcji. Minęło prawie 70 lat od czasu naszego pobytu w Nowym Kramsku, a jest to dla mnie krótki, bo krótki (1947-1951), ale najwspanialszy okres życia, który wciąż z ogromnym sentymentem wspominam, bardzo często wracam w myślach do tamtych dni. Chciałoby się przeżyć to wszystko jeszcze raz.

A jak to się stało, że znaleźliśmy się w Kramsku? Ojciec mój, Franciszek Jujka (pseudonim Lech Malbor) był nauczycielem szkolnictwa polskiego w Niemczech – aż po czasy hitlerowskie. Był jednocześnie znaczącym działaczem spod znaku Rodła, poetą, autorem Hymnu Rodła i scenicznego tekstu przygotowanego na Kongres Polaków w Niemczech (Berlin, marzec 1938 r.), w którym to zawołaniu rodłowym wspomina również Babimojszczyznę: gdzie „ojcowie nasi od mrocznych wieków dzierżą pograniczne szlaki, gdzie Bytów, Złotów i Babimost stoi, tam krwi i potu są znaki”.

Niemcy mieli dość takich ludzi. Po nieustających szykanach, aresztowaniach na koniec wyrzucili nas z Rzeszy. Ojciec dostał kierownictwo szkoły w Kębłowie, koło Wolsztyna. Tu zastała nas wojna. Ojciec już przed 1 września ukrywał się. Wiem tylko, że w czasie wojny działał w podziemiu na terenie Wielkopolski, m.in. był szefem konspiracyjnego harcerstwa. Zginął zakatowany przez faszystów prawdopodobnie w Gross-Rosen. Mama została z czwórką małych w skrajnej nędzy, bez jakichkolwiek środków do życia. Tylko dobrym ludziom zawdzięczamy to, że żyjemy. Wyrzuceni ze szkoły tułaliśmy się w małych pokojach przegarnięci przez dobrych ludzi. Bywało, że woda zamarzała w wiadrze w takim lokum, a ogrzewane było „kozą” dla której znosiliśmy szyszki, suche gałęzie i wory igliwia z pobliskiego lasu. Muszę tu jeszcze wspomnieć oblata o. Jerzego Machonia, który już konspiracyjnie działał na tych obszarach, a po wojnie został proboszczem w Kębłowie. Był bardzo ważnym naszym opiekunem i dobroczyńcą do chwili naszego wyjazdu do Kramska.

A więc Nowe Kramsko! Dobrzy ludzie znaleźli pracę dla mamy w organizowanym Domu Dziecka. Opiekę znalazły tu przede wszystkim sieroty po powstańcach warszawskich, ale znaleźli się też kramszczanie, m.in. trzy Andrysówny: Urszula, Lucja i Elżbieta.

**„Zawołanie kongresowe”
napisane na Kongres Polaków
w Niemczech.
Berlin – 6.03.1938 r.**

*Od mrocznych wieków ojcowie moi
Dzierżą przygraniczne szlaki.
Gdzie Bytów, Złotów i Babimost stoi,
Tam krwi i potu są znaki.
Czule nad nimi dzwonu dźwięk stróżuje
Z zakrzewskiej płynącej wieży.
Ojcom za wytrwanie niebo zwiastuje,
Hartu moc daje młodzieży.
A Ojce nasi to Piasta synowie,
To lud od sochy i pola,
Co w polskim zwyczaju i w polskim
słowie,
Tak twardy, jak jego dola!
W tej doli jednakiej wołamy was:
W gromadzie stańmy Rodacy!
Toć krew, co w braci łączy nas,
To znak: Jesteśmy Polacy!
Cóż to za znak tak srebrem lśni?
To Rodło!
To wiary i krwi naszej godło,
Przyszłości naszej jasne dni.*

*Pod znaku tego świętym blaskiem
stajem –
My Śląsk! I my z Ziemi Polabskich!
My Westfalia i Nadrenia!
I my z Warmii, Mazur i Ziemi
Malborskiej! I my z Pogranicza!*

Lech Malbor (Franciszek Jujka)



Cały dom dziecka z kierownikiem - panem Isalskim.

Po prawej stronie pana Isalskiego moja mama, po lewej pani Isalska i dalej pani Kuskowa.

Po sześciolatej udręce zamieszkaliśmy w niedawno zbudowanym jeszcze przez Niemców zespole budynków Grenzschnu, przez nas nazywanym „blokchasy”. Ten przyjazd do Kramka to był przeskak cywilizacyjny. To było nasze Eldorado. Raptem trzy pokoje, kuchnia, no i łazienka z węglowym piecykiem podgrzewającym zbiornik wody! Ten zapach rozgrzanego kotła z którego ukrop leciał do wanny. Zespół tej zabudowy składał się z dwóch budynków – jeden długi, parterowy, z zagospodarowanym poddaszem, drugi piętrowy.



Poświęcenie Domu Dziecka – ks. Ignacy Karolewski

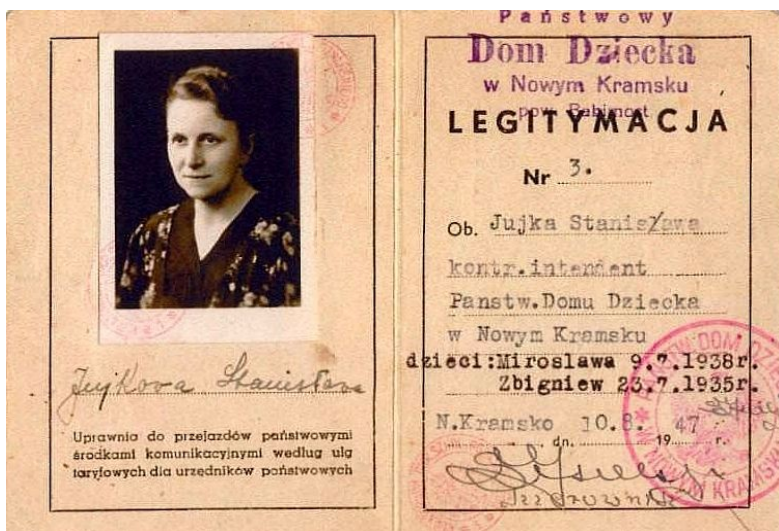


Budynek gospodarczy ze stertą drewna.
Mirka - moja siostra, ja, nasza mama, pani
Kuskowa



Moja mama, pani Isalska z Jolą, Leszek, Marek,
pan kierownik St. Isalski

W parterowym było nasze mieszkanie, mieszkanie pp. Isalskich (p. Stanisław Isalski był kierownikiem Domu Dziecka), jadalnia dla wszystkich i w piwnicy kuchnia z windą do podawania posiłków do jadalni. Obok wspomnianych bloków był domeczek dla p. Mączki – dozorca od wszystkiego, stajnia dla jego konia, były garaże, jakieś przestrzenie gospodarcze a nawet dystrybutor paliwa na ręczną pompkę. To wszystko przylegało do sporego ogrodu, z którego najbardziej zapamiętałem smak i zapach pomidorów (dajcie mi teraz takie pomidory!).



Mama była tu intendentką, dbała o zaopatrzenie i przyrządzanie posiłków. Jeździła bryczką z p. Mączką po wiktuały do Sulechowa, a wieczorem skrzętnie obliczała kalorie, które powinny się znaleźć w odpowiedniej ilości w każdym posiłku. Tutaj trzeba wspomnieć UNRRE – amerykańską organizację pomagającą poszkodowanym przez wojnę. Boże, jakie to były frykasy i rarytasy! Czekolada

twarda jak kamień, pyszne paróweczki w konserwach, gulasz z koniny (!), puszek soku grejpfrutowego z napisem „Juice” (wzruszali mnie tym ci Amerykanie i dalej im za to dziękuję), były całe worki cukru, mleka w proszku, pudła margaryny i paskudnego ceresu – tłuszczu z orzechów kokosowych. Były specjały o których istnieniu nie wiedzieliśmy. Pycha – łakomstwo! Szefową kuchni była też kramszczanka, p. Werka Eckert. Natomiast jedną z wychowawczyń była p. Władysława Kuskowa, córka p. Marianny Fabisiowej, matka mojego przyjaciela do tej pory – Zdzicha Kuski.



Obieranie kartofli przez wychowanków (!).



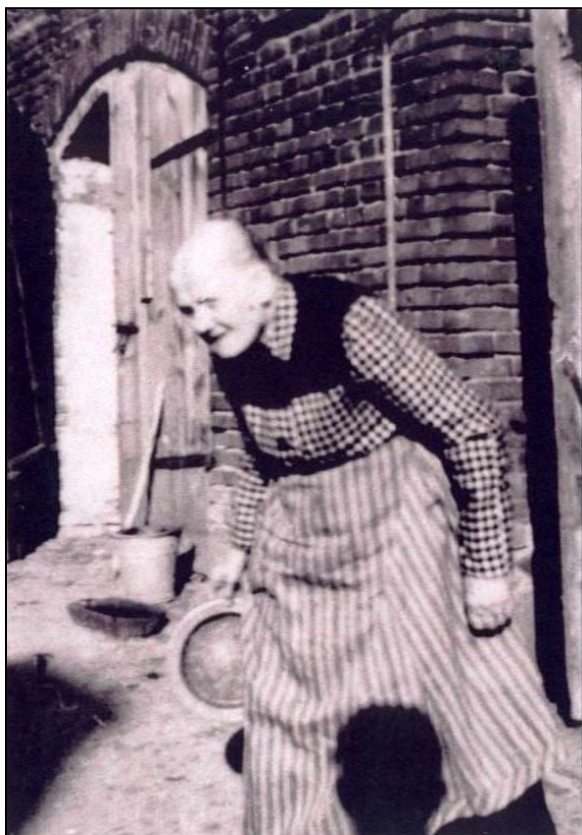
Komunia wychowanków Domu Dziecka. Z lewej strony Jan Cichy – stoję obok niego.
W środku górnego rzędu p. Isalska, pp. Obstowie. Po prawej stronie ks. Karolewskiego higienistka.
Po lewej moja mama Stanisława Jukowa. Dalej p. Isalski i p. Kuskowa.

Drugą młodziutką wychowawczynią była Irena Wereszczaka, która przywędrowała tu po zakończonej wojennej tułaczce z obozu w Indiach, przez szereg nie mniej egzotycznych krajów. Jej matka była jedną z opiekunek dzieci „schowanych” tam na czas wojny. W grupie opiekunek była Hanka Ordonówna, a jednym z podopiecznych był Jerzy Krzysztoń, później wybitny pisarz. Dzieje tej grupy niejednokrotnie opisywano w książkach, reportażach i kronikach.

Cały ten zespół budynków Domu Dziecka przylegał do lasu. Nigdy potem nie było takich grzybobrań. Na kocach znosiliśmy nasze plony!

Tu przez parę lat trwała nasza codzienność z chodzeniem do szkoły i z czekaniem ... na wakacje, ale o tym trochę później. Podstawówkę skończyłem wprawdzie już w Kębłowie, ale byłem za młody aby iść do liceum. Powtarzałem klasę. Koledzy z klasy to między innymi: Benyskiewicz, Jaekel, Zięba... i oczywiście kontynuowana do dziś przyjaźń ze Zdzichem Kuską. Kierownikiem szkoły był Wiesław Sauter – postać nietuzinkowa.

Niech sobie powędruję trochę po Kramsku. Kalisko... Do dziś podśpiewuję sobie „*Na krumskim kalisku, ...lisku, pływają labundzie, z naszego kochunia pewno nic nie bundzie*” (niech każdy skoryguje tę moją gwarę). Nad brzegiem stał dom m. in. Benyskiewiczów, a trochę dalej już przy jezdni dom babci Fabisiowej – najważniejszy dla nas dom w Kramsku – babci Zdzicha i Marylki Kusków, a ich mama, pani Władysława była, jak wspomniałem, wychowawczynią w Domu Dziecka. Dalej wędruję. Najładniejszy, i do dziś taki pozostał, był dom Heleny i Franciszka Jaekłów. Jaeklowie mieszkali naprzeciw kościoła (zbudowanego w 1799 roku). Tu, w tym kościele ministrantowałem (oh, jak ciężko było rano wstać!) u ks. Karolewskiego, tu z rąk administratora apostolskiego ks. Edmunda Nowickiego otrzymałem sakrament bierzmowania. Piękny kościół, ważne dla mnie miejsce.



„Nasza” babcia Fabisiowa.

Opodał piekarnia Alfonsa Reimanna i trochę głębiej od placu przykościelnego gospodarstwo Jana Cichego, króla Polaków, jak go zwano, którego dwaj synowie musieli służyć w Wehrmachcie. Taki był los ludzi pogranicza. (Szkoda, że niedouczony Jacek Kurski o tym „nie wiedział”, nie skrzywdziłby tych wspaniałych ludzi, jak skrzywdził dziadka Tuska.) Myślę, że edukacja historyczna naszego społeczeństwa dalej szwankuje.

A teraz wracam do domu babci Marianny Fabisiowej, wspaniałej babci nas wszystkich. Wacław Fabiś, jej mąż, wysoko ceniony społecznik, podzielił los naszych ojców. W domu babci Fabisiowej spotykaliśmy się w letnie wakacje prawie codziennie. Różne gry, trochę intelektualne, remibrydż, karciany flirt – to nam zastępowało brak komputera i Internetu. Byliśmy zapalonymi czytelnikami. Tak się złożyło, że wszyscy prawie w tym samym czasie rozkoszowaliśmy się „Klubem Pickwicka” Karola Dickensa. Ta lektura fascynowała nas. „Pickwick” stał się naszą biblią, przynajmniej towarzyską. I tak powstał Klub Pickwicka, nasz kramski Klub Pickwicka.

Tu oddaję głos Januszowi Kramarkowi – prezesowi klubu, najstarszemu z wnuków Marianny Fabiś. Jest to fragment jego kramskich wspomnień zamieszczonych we wrocławskim „Biuletynie Stronnictwa Demokratycznego” z datą 10.01. 2001 r. Nikt lepiej tych czasów nie opíše:

„Wtedy też, a był to okres po wojnie, założyliśmy „Klub Pickwicka” w Nowym Kramsku wypełniający nam bez reszty czas, w którym nam było dobrze i w którym potrafiliśmy się odnaleźć, szczególnie w czasie letnich i zimowych wakacji szkolnych, wtedy, gdy mogliśmy dłużej być ze sobą. W skład Klubu wchodził: Zbyszek Jujka, jego starszy brat Janusz oraz dwie siostry – Maryla i Mirka. Piszący te słowa został „prezesem”, a z rodziny piszącego weszli do Klubu kuzyni: Zdzisław Kuska, jego siostra Marysia Kuska, a także druga kuzynka Marylka Kwoczek – córka znanego adwokata z Opola, obrońcy spraw polskich. Przed wojną był on przewodniczącym harcerstwa polskiego w Niemczech, a potem więźniem Buchenwaldu. Po wojnie został posłem na Sejm z Opolszczyzny z ramienia katolickiego ugrupowania „Znak”. Nasze mamy były siostrami z domu Wacława Fabisia z Nowego Kramska – działacza spod znaku Rodła, założyciela kółek rolniczych, zamęconego w Oranienburgu – Sachsenhausen. W latach powojennych, kiedy istniał nasz „Klub Pickwicka”, w domu rodzinnym w Nowym Kramsku 63 gospodarzyła jeszcze nasza babcia Marianna, wdowa po Wacławie Fabisiu, niezwykle - jak na warunki wiejskie - światła osobowość, okolicznościowa poetka ludowa, otwarta na oświatę, kulturę, nowości z zakresu zdrowia i higieny na wsi i na wszelkie udoskonalenia ułatwiające ciężką pracę, także w uprawach i hodowli.

Jej dom był zawsze otwarty dla każdego podróżującego i potrzebującego niezależnie od narodowości. Bardzo nas kochała. Jej dom i jej osobowość stanowiły centrum spinające nasze rodziny, z których my młodzi z „Klubu Pickwicka” się wywodziliśmy. Opisuje ją w swych książkach Maria Malewska, która przed wojną nauczala na pograniczu, m.in. jakiś czas w polskiej szkole w Nowym Kramsku. Śmiało możemy powiedzieć, że właśnie przy niej byliśmy dziećmi jednej rodziny. Ewenementem naszego „Klubu Pickwicka” było to, że podobnie jak w literackim pierwowzorze, programowo nie mieliśmy żadnego programu: celem natomiast – jako odreagowanie przeżyć wojennych – było tak modne dzisiaj tzw. wyluzowanie się każdego z nas, oraz, co może w dzisiejszych czasach uchodzić za słowa bez pokrycia, pragnienie i doszukiwanie się w każdym czasie prawdy, dobra i piękna. My naprawdę tego chcieliśmy! Celem naszym było pielęgnowanie do dzisiaj nierozdzielnej przyjaźni i wzajemnego zaufania. Tych wszystkich cech nauczyliśmy się doszukiwać w każdej aktualnie istniejącej chwili bieżącej, bo to co przeżyliśmy, pozostało już tylko wspomnieniem, a nadchodzące było dla nas nastolatków nieokreślonym marzeniem. Tak uważaliśmy i taka była nasza filozofia. A więc trwanie i jak gdyby podpatrywanie chwil bieżących na wsi, zgodnych z prawami przyrody i porami roku. Obserwowaliśmy nie tylko przyrodę, ale i ludzi w ich trwaniu zgodnie z tradycją, obyczajami i pielęgnowaną nieraz od pokoleń kulturą i sztuką ludową. Wszystko to nas fascynowało. Utrwalały się nasze charaktery. Już wtedy odczuwaliśmy, że wpajane przez panujący wówczas ustrój materialistyczne pojęcie postępu wchodziło w dusze młodzieży na tych nie skażonych moralnie i ekologicznie obszarach Ziemi Lubuskiej z dużymi oporami. Nie odbiegaliśmy natomiast od zaleceń zawartych w literackim pierwowzorze „Klubu Pickwicka” Karola Dickensa. Którą to powieść czytaliśmy z zapartym tchem i gdzie w pierwszym rozdziale tej XIX-wiecznej powieści mamy zamiast programu – zalecenie: „aby członkowie klubu robili swoje poszukiwania dopóki im się to będzie podobać”, i że: „Klub został powołany do czynności wielkiej wagi, dziś gdy nieład panuje na wielu drogach, a woźnice są zdemoralizowani...”. A czy my młodzi w naszym klubie nie byliśmy świadkami i uczestnikami zawirowań i „zdemoralizowanych woźniców” na miarę XX wieku?



Czekamy na wakacyjny przyjazd Marylki Kwoczek z Opola.

Sportowego „Polonia” z Nowego Kramsku z drużynami z innych wsi, a nawet z „Wartą” z Poznania, która tu urządziła sobie letnie obozy treningowe”.

Od wczesnego popołudnia często do wieczora przesiadywaliśmy u naszej Babci, która czasami dwa razy w ciągu dnia piekła placek na śliwkach, bo ten jeszcze ciepły znikał błyskawicznie. Natomiast nasz prezes rytualnie w pewnej godzinie znikał z sakramentalnym „najprzyjemniejsza w dotyku jest poduszka”, przenosił się do alkowy na drzemkę.

Trzeba przyznać, że Pickwickiem żyliśmy cały rok. Pisaliśmy do siebie listy z cytataми Pickwicka, z rozważaniem jego ideologii. Listy do Janusza adresowaliśmy „Szanowny pan prezes klubu Pickwicka”. Janusz był już chyba młodym pracownikiem Muzeum Archeologicznego we Wrocławiu, późniejszym doktorantem, kiedy o mały włos przykro by się skończyła ta dziecięca zabawa epistolarna. Korespondencją do pana Janusza zainteresowały się służby bezpieczeństwa i to z Opola, ale dzięki Bogu wszystko dobrze się skończyło. Takie to były czasy. Trzeba by zajrzeć do teczek IPN, czy jakiś ślad tego pozostał.

Po cudownym czasie wakacji następowała szara codzienność i chodzenie do szkoły z niecierpliwym oczekiwaniem na następne wakacje, by znów być razem.

Jeszcze jedną atrakcją wakacyjną były obozy poznańskich harcerzy. Rozbijali namioty, budowali bramy w lesie po drugiej stronie drogi prowadzącej z Kramsku do Wojnowa. Uczestniczenie w ich ogniskach, gdzie były gawędy, śpiewy, a nawet scenki, dziś powiedzielibyśmy kabaretowe. Do dziś widok harcerzy wzrusza przez skojarzenia z przeżyciami z kramskiego lasu. Jakaś nostalgia przenika wyobraźnię. Bardzo żywo pamiętam gawędę wspomnianego przez Janusza Kramarka pana Pawła Kwoczka. Było to wzruszające opowiadanie „starodawnych dziejów”,

Szczególnie nasz „Klub Pickwicka” uaktywniał się w czasie wakacji, kiedy bywaliśmy w Kramsku w komplecie. Chodziliśmy się bawić z dziećmi spragnionymi rodzinnej miłości z domu dziecka, który prowadziły mamy Zbyszka Jujki i Zdzisława Kuski. Wielu ówczesnych wychowanków – dziś już dorośli – rozproszeni po świecie ze wzruszeniem wspominają ten dom pełen radości i ciepła rodzinnego. Przyjaźniliśmy się z miejscową młodzieżą wiejską, pomagaliśmy w gospodarstwie domowym i przy żniwach i sianokosach, pasaliśmy krowy i gęsi na łąkach, mieliśmy sposoby by wywabiać kaczki ze stawu zwanego Kalisko. Paliliśmy ogniska na łąkach i ścierniskach dając upust niekończącym się rozmowom. Chodziliśmy na ogniska do obozujących w okolicznych lasach harcerzy. Spędzaliśmy tam nieraz długie nocne godziny. Robiliśmy rowerowe wyprawy do Sulechowa, do Babimostu na lody, a także do Klepska, słynnego z najpiękniejszego w Polsce drewnianego kościołka wiejskiego z XVIII wieku. Chodziliśmy na mecze Klubu

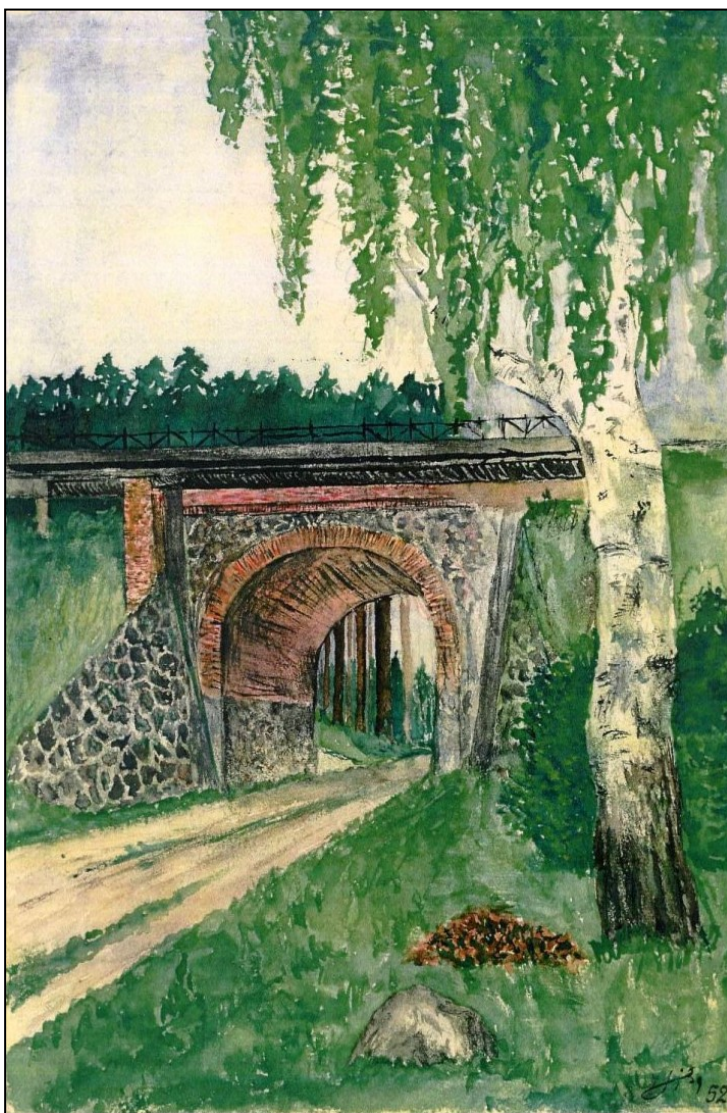
a szczególnie czasów gdy przewodził polskim harcerzom w nazistowskiej Rzeszy. Dźwięk trąbki kończącej ognisko „Wieczorną modlitwą” rozniósł się daleko po polach i lasach w wieczornej ciszy. Do tej pory brzmi w uszach.

Nie mogę tu pominąć wspomnienia bardzo osobistego. Tutaj zaczęło się moje malowanie zakończone studiami w gdańskiej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych (obecnie ASP). Ogarnęła mnie pasja. Latem wstawiałem ze słońcem, stawiałem kawał dykty na pianinie, na to napinałem brystol i malowałem kopiując dostępne reprodukcje. Chyba dla pp. Reimannów wykonałem kopię modnego wtedy oleodruku pokazującego wrzosowisko z brzoškami w tle. Wychodziłem też w plener. Zostały mi dwa obrazki: stodoła przy drodze na stację PKP w Kolesinie, druga akwarelka to istniejący do dziś wiadukt w okolicy stacji, za którym w lesie przez długie lata leżał wrak amerykańskiego bombowca. Gorliwie przyczyniliśmy się do jego demontażu.

Po skończeniu szkoły kramskiej dwa lata pobierałem naukę w Krobii. Jechałem w wigilię na Święta Bożego Narodzenia do Kramska. W Wolsztynie trzeba było się przesiąść z pociągu do autobusu. Była to ciężarówka z plandeką i ustawionymi na platformie ławkami. Mróz siarczysty, wiatr hulał po tym autobusie. Niestety przyjechałem po wigilii, ale ulubione makielki mi zostawili, a potem było wspólne kolędowanie przy choince. Takie były uroki tamtych czasów.

Długo by wspominać, ale pamięć już nie ta. Wiele spraw wartych wspomnienia czas zatarł. Ślad też nie został po Domu Dziecka. Trzeba było zbudować lotnisko w Babimoście, a pas startowy sięgał aż do Jeziora Wojnowskiego, w prostej linii przez ten nasz skarb dzieciństwa. Samoloty tam startujące miały bronić Kramska przed siłami NATO. Nie pomogło, a Domu Dziecka nie ma. Na szczęście zostało jezioro. Jezioro Wojnowskie było częstym miejscem naszych spotkań w pogodne, wakacyjne dni. W świadomości nosiłem dumę, że kilkakrotnie to jezioro przepłynąłem.

Po latach sentymentalnie stanąłem na tej naszej plaży i ze wstydem i rozczarowaniem zobaczyłem, że brzegi tego jeziora wcale nie są od siebie zbyt odległe. Jak czas który nas dzieli od kramskiej sielanki. To moje jedyne rozczarowanie z tamtych lat.



Wiadukt kolejowy obok dawnej stacji kolejowej w Kolesinie. Rok 1952.

RYSUNKI ZBIGNIEWA JUJKI

